



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Blandyna Redel, z domu Kulczycka

Wspomnienia spisane w 2017 roku

Urodziłam się 29 października 1928 roku w Warszawie przy ulicy Krochmalnej nr 75. Przed wojną uczęszczałam do Szkoły Powszechnej nr 97 na ulicy Tarczyńskiej.

Miałam 11 lat, kiedy wybuchła wojna. Pamiętam, że we wrześniu 1939 roku uciekaliśmy z rodziną przed bombardowaniami z Warszawy na wieś. Po tygodniu, gdy wróciliśmy, zastaliśmy okradzione mieszkanie. W dalszym ciągu trwały naloty i były coraz gorsze.

W czasie okupacji mieszkłam przy ulicy Grójeckiej 20. W naszym mieszkaniu drukowana była gazetka „Czyn młodych”, którą prowadził daleki kuzyn babci, Bogdan Edward. Później rozstrzelany na Pawiaku, podobno został zadenuncjowany. Pamiętam, że kilka razy zanosilałam drukowaną u nas gazetkę do kilku punktów odbioru. Chodziłam do szkoły zawodowej fryzjerskiej na ulicy Chmielnej, prowadzonej przez Niemców.

W czasie wybuchu powstania warszawskiego mieszkłam z rodzicami przy ulicy Grójeckiej nr 20B. Był tam schron przygotowany na działania wojenne. Schron ten wybudował przedwojenny właściciel z i przystosował go na wypadek wojny. To była bardzo duża piwnica z bieżącą wodą, skanalizowana, z zapasowym tunelowym wyjściem na okoliczne pola między torami dworca kolejowego. W czasie Powstania Warszawskiego, razem z rodziną, przebywałam też w tym schronie. Ten dom był wypalony, ale stoi do dnia dzisiejszego.

Dnia 5 sierpnia 1944 r. budynek został zajęty przez Niemców (szli od Okęcia i dom po domu rozstrzeliwali ludzi). Był rozkaz Hitlera o rozstrzelaniu wszystkich mieszkańców. Tego dnia wypędzili wszystkich na podwórko, po jednej stronie stały kobiety, po drugiej mężczyźni, w środku wycelowane w nas karabiny maszynowe. Niemcy w tym czasie legitymowali mężczyzn. Naraz łomotanie do bramy, na podwórko wjechał na motocyklu żołnierz niemiecki i podał dowódcy plutonu egzekucyjnego jakąś kartkę. Był to Niemiec z rozkazem o zaprzestaniu rozstrzeliwania (dowiedziałam się tego dopiero po wojnie).

Dowódca plutonu egzekucyjnego, mimo tego zarządzenia, kazał mężczyźni i chłopców rozstrzelać. Kobiety i dziewczynki Niemcy wypędzili na ulice. – Idźcie gdzie chcecie! Później wszystkich mężczyzn ustawili w kolejce. Z podwórka były schody do piwnicy, do tego schronu. Każdy musiał podejść, wtedy Niemiec strzelał mu w tył głowy i postrzelony spadał po tych schodach.

Zabili moich kolegów: Remka 14 lat, Heńka 15 lat. Ranili strzałem w tył głowy Hilarego, bardzo przystojnego chłopaka, kula od tyłu wyszła przez szczękę. Nie wiem, co się z nim potem stało. Wiem, że jeden z mężczyzn uszedł z życiem, jego żona urodziła w nocy dziecko. Znał język niemiecki. Stanął z kobietami przy swojej żonie. Niósł to małe dziecko. Niemiec go zatrzymał, popatrzył się i machnął ręką, krzyknął – Raus!, i mężczyzna wyszedł z kobietami. Jeden nie wytrzymał nerwowo, pobiegł, rzucił

się na stos trupów. Seria strzałów wycelowana nie trafiła w niego, pobiegł dalej. Siedział dwa dni w schronie, potem wyszedł tunelem, o którym Niemcy nie wiedzieli. Osiwiał po tych przeżyciach.

Każdy uciekał nie wiadomo gdzie. Ja z mamą Zofią i babcią Jadwigą uciekłyśmy na plac Zawiszy. Schroniłyśmy się w budynku zajęтым przez folksdojców. Byłyśmy głodne, a tam jeść nie dawali. Dobrze, że babcia złapała w ostatniej chwili torebkę z kostkami cukru i to ssałyśmy. Po dwóch dniach Niemcy wpędzili nas do bloków, tak zwanych ZUSowskich przy ulicy Niemcewicza. Tam spędzili ludzie z okolicznych domów. Polacy, mieszkańcy tych bloków, zorganizowali akcję opiekuńczą, kuchnię, i codziennie dawali jeden raz miskę zupy lub kaszy.

Po dwóch, trzech dniach Niemcy wypędzili wszystkich na ulicę Grójecką i pędzili na tzw. Zieleniak przy ulicy Opaczewskiej. Szedł tam już tłum z różnych ulic Ochoty. Po wyjściu na ulicę ukazał się nam okropny widok Własowców, band Ukraińców pijanych

i tańczących na ulicy, mających dziesiątki zegarków na rękach i biżuterię, którą ludziom pozabierali. Pijani żołdacy wyłapywali z tłumu kobiety i wciągali je w gruzy... Rabowali mieszkania.

Na Zieleniak nowo przerażające widoki: tu jedna kobieta rodzi, tam inną gwałcą, biją, kozak tańczy, inny znęca się nad powstańcem bijąc go, kopiąc, rzucając nim. Widok okropny. Po wpędzeniu nas na Zieleniak, gdzie były tłumy ludzi, wrzeszczano, żeby ustawić się w piątki. My szybko odłączyłyśmy się, żeby wydostać się z tego piekła. Zgubiłam gdzieś mamę w tym tłumie, ale po pewnym czasie się znalazłyśmy. Już było ciemno, idziemy ulicami w stronę Dworca Zachodniego. Widzę na ulicach martwe, pogwałcone kobiety. Spojrzałam do tyłu i zobaczyłam łuny płonącej Warszawy i wtedy pomyślałam: za rok tu wrócę. I za rok wróciłam.

Pędzono nas na Dworzec Zachodni skąd zawieziono nas do hali fabrycznej na kolejowej stacji w Pruszkowie. Były tam straszne warunki, leżałyśmy na betonowej podłodze, bez wody, bez jedzenia. 10 sierpnia 1944 wsadzono nas do wagonów bydłowych i wywieziono do Auschwitz-Birkenau. Zanim dojechaliśmy, staliśmy cały dzień w bydłowych wagonach. Mama bała się, że mnie wyrzucą, bo dostałam temperatury.

Z jednego piekła dostałyśmy się do drugiego. Pamiętam jak nas pędzono do obozu w nocy i pamiętam widok komina krematorium oraz na tle nieba dym wałący w niebo, biały słup. Fetor, swąd palonych ciał rozchodził się po całym obozie.

Przyjechał transport warszawski i żydowski.

Na stanowiskach funkcyjnych było dużo Żydów, byli na funkcjach kapo, oberkapo, blokowego. Był rozkaz komendanta: transport warszawski na obóz, a żydowski do pieca. A funkcyjni zrobili „przekręt” – warszawski do pieca, żydowski na obóz. Podszuchał to wszystko jakiś polski funkcyjny. Kiedy się zorientował, pobiegł do komendanta i zameldował o tym.

Stałam pod krematorium całą noc w kolejce do pieca. I później raptem zamieszanie. W pewnym momencie przyjechał na motorze Niemiec, komendant obozu. Tygrys nie człowiek, wściekły. W jednej ręce miał szpicrutę, w drugiej nie pamiętam, ale chyba pistolet. Zaczął Żydów funkcyjnych, którzy kręcili się przy krematorium, bić i na nich wrzeszczeć. Wielki harmider, wrzawa i znów nas wysłali do obozu, a Żydów podobno do pieca. To była straszna noc prawie do samego rana. Dzięki nieznanemu Polakowi uniknęłyśmy wtedy spalenia.

Gdy nas pędzili do bloków, smród palonych ciał z krematorium był nie do zniesienia. Były także duże kwadratowe doły z płonącym ogniem. Na własne oczy widziałam, na tle ognia sylwetkę człowieka wrzucanego do ognia. Z wiatrem przychodziły krzyki tych ludzi wrzucanych żywcem. Wpędzili nas do obozu, do bloków, baraków. Górne prycze były pozajmowane. Nam kazali kłaść się na ziemi. Leżeliśmy na betonie, szczury po nas latały.

Zacząła się dla mnie miesięczna gehenna. O godzinie 3.00 byłyśmy wypędzane na dwór na apel i ustawiane piątkami. Apel o 10.00 przyjmowały Niemki – aufzjerki. Trzeba było od 3.00 do 10.00 stać na dworze w piątkach. Później dawali nam jedzenie, miska obrzydliwej zupy z półsurowych, całych liści jarmużu, tego się prawie jeść nie dawało. Nie było nocy, żeby jakaś kobieta nie zwariowała, od razu szła do pieca. Po apelu można było pochodzić trochę między blokami. Teraz tam trawka rośnie, a wtedy to była glina przemieszana, zdeptana tysiącami nóg. Pozabierali nam ubrania, nadano nam numery. Miałam numer 85785. Golili głowy do gołej skóry. Mnie nie ogolili, obcięli włosy do połowy ucha. Później jednak miałam wszy.

Warto wspomnieć, że były bardzo trudne warunki załatwiania potrzeb fizjologicznych. Były baraki – latryny. Większość miała okropne biegunki obozowe tzw. durfał. Chore kobiety przypiekiły kawałki chleba, żeby zahamować tę straszną biegunkę.

W sytuacjach, gdy kogoś przywieźli, albo była egzekucja, albo ktoś ważny przyjechał, często była tzw. blokszpera, wszyscy musieli siedzieć w barakach. Któregoś dnia w czasie blokszpery wypędzili nas przed barak, ręce do góry i Niemiec sprawdzał, kto ma ręce suche. Kiedy były suche zapisywał numer. Zapisał mamę i mnie. Wybrali 150 kobiet. Za parę dni wywieźli nas do fabryki OSRAM. Obóz Koncentracyjny Flossenbürg Komando Plauen. Dostałam nowy numer 60688. W tym obozie mimo wszystko były dużo lepsze warunki. Dali nam szare sukienki, czyste pasiaki i buty. Każda miała siennik, swoją koję.

Pracowaliśmy po 12 godzin na dobę w halach fabrycznych przy robieniu żarówek. Tak dotrwałyśmy do wyzwolenia.

Dyrektor bał się, wiedząc że front się zbliża, że może ponieść jakieś konsekwencje. Od stycznia do kwietnia dostawaliśmy dziennie jeden plasterek chleba i coś do picia, taka jakaś czarna kawa. Wyglądałyśmy jak szkielety.

16 kwietnia 1945 roku w pewnym momencie łomot do bramy fabrycznej, to byli żołnierze amerykańscy. Kiedy oni nas zobaczyli, to w ogóle nie wiedzieli, co się dzieje, dawali nam, co mieli. Jedna kobieta zapaliła papierosa, upadła, bo gdzieś tam taki szkielet i pierwszy papieros po kilku miesiącach, inna zjadła batonika i od razu się rozchorowała, nie wiedziała co się dzieje.

Zostałyśmy wyzwolone. Jadzia Sobolewska, jedna z nas, została naszą kierowniczką, bo знаła trochę angielski.

Dyrektor chciał nas zagonić do piwnicy i wrzucić na nas granaty, ale żołnierze amerykańscy ukarali dyrektora. Amerykanie przywieźli jedzenie. Ja nie mogłam z wrażenia jeść i to mnie uratowało, a inne kobiety jadły i chorowały. Później pomału przyzwyczajaliśmy się do jedzenia. Nasza kierowniczka dawała nam ciągle tylko ryż i ryż, który nam się nudził, a za inne produkty z przydziałów w workach kupiła sobie futro, ale nie miałyśmy na to wpływu, a może i siły.

Później ewakuowali Niemców z dwóch kamieniczek w mieście Plauen i dali nam z mamą pokój. Chodziłyśmy po mieście, jadłyśmy ryż i kaszę, którą nam pani Jadzia Sobolewska z przydziałów wydzielała. No, ale to już była wolność, to już było co innego.

Później nas zabrali, wozili nas po różnych obozach – kwarantannach. Któregoś razu zawieźli nas do byłego obozu esesmańskiego w Hohenfels. Były tam baraki, pokoje, kuchnia umywalnia. Z tego obozu organizowany był transport do kraju. W obozie byli Włosi, Jugosłowianie, Polacy. Rozwożono byłych więźniów do różnych krajów, gdzie kto chciał.

Zapisaliśmy się na transport do Warszawy. Jechaliśmy w towarowych wagonach, ale to już było coś innego, inne warunki, przede wszystkim nie było tego psychicznego obciążenia. Dostałyśmy z UNRY jakieś sukienki, koce. Gdy wyszłyśmy z obozu mama za pajdkę chleba kupiła gęsty grzebień. Po dwóch dniach nie miałam wszy.

Kiedy przyjechaliśmy do Warszawy okazało się, że właśnie w tym budynku przy Grójeckiej 20B pani Fukowska otworzyła restaurację (trudno powiedzieć restaurację, takie dwie salki). Męża jej rozstrzelali 5 sierpnia 1944 roku.

To ona powiedziała nam, że babcia żyje, że ją widziała, rozmawiała. Babcia nie była z nami w Plauen, została w Oświęcimiu do samego końca. Nie wiem gdzie spałyśmy, u kogo, gdzie i jak. Poszłyśmy na Emilii Plater do znajomej i tam spotkałyśmy babcię. Opowiadaniom nie było końca. Później poszłyśmy do rodziny na Młynarską, tam była siostra mojej mamy, Stefa z synkiem Stefanem i córką Zuzanką. Oni zamieszkali na parterze, a my poszłyśmy na pierwsze piętro, gdzie było wolne pomieszczenie i dach nad głową. Zamieszkałyśmy tam we trzy – babcia, mama i ja.

Zaczął się życie po wojnie. Warunki mieszkaniowe były okropne: nieotynkowane ściany, pobielone wapnem, podłoga z cegieł, ubicacja na dworze, w zimie stos zamarzniętych odchodów. Wodę trzeba było nosić w wiadrach z daleka. Miałam palto uszyte z koca.

No i trzeba było iść do pracy. Zaczęłam pracować w wytwórni farmaceutycznej na Filtrowej, później na Waliców, którą prowadził mgr Piotr Kaczmarowski i jego żona Koletta (dziadkowie Jacka Kaczmarowskiego). Koleżanka obozowa mnie tam ściągnęła. Prowadziłyśmy całe biuro wytwórni. Później otworzyła się Centrala Aptek Społecznych (CAS) i tam zaczęłam pracować. Doszłam do wniosku, że brak mi wiedzy, zapisałam się do liceum i tam zdałam maturę. W ciągu wielu lat CAS przekształcił się w przedsiębiorstwo farmaceutyczne CEFARM. W tej firmie pracowałam, aż do przejścia na emeryturę.